



IDEE PRZEWODNIE

□ □ □ ANTROPOGEOGRAFII

Człowiek jest stworzeniem i płodem ziemi, tej dobroczynnej matki, która go żywi swymi sokami, dostarcza powietrza jego płuc i umożliwia życie i istnienie. Człowiek, ta istota rozumna, lubiąca chętnie się swoją wolną wolą, nie może jednak stać się zupełnie niezależny od warunków fizyczno-geograficznych i wogóle środowiska kraju, który zamieszkuje. Związani z powierzchnią ziemi, jesteśmy wciągnięci mimowoli we wszystkie przejawy jej życia i zależymy od jej praw, a nasza wolność w stosunku do niej polega na poznawaniu praw przyrody i przystosowywaniu się do nich. Tyczy się to nie tylko pojedynczych osobników, lecz i całych narodów i całej ludzkości. „Jak pewnem jest, powiada prof. A Kirchhoff, że ludzkość w każdym czasie, we wszystkich okresach swego rozwoju, we wszystkich swoich czynach zależna była od ziemi karmicielki, tak samo i to jest pewnem, że nigdy nie wyzwoli się ona z tych więzów“.

Już w czasach starożytnych Hippokrates (460—377 przed Chr.) w dziele „O powietrzu, wodach i okolicach“ starał się wykazać wpływ przyrody na człowieka nie tylko pod względem fizycznym, lecz i pod względem duchowym. W pierwszym wieku po Chrystusie

ideę związku między człowiekiem i przyrodą podniósł jeszcze geograf Strabon, lecz „płodne myśli jego, jak powiada prof. W. Nałkowski, zatoneły w mroku wieków średnich“, gdyż podobne zapatrywania świat chrześcijański uważał za pogańskie; człowiek w ówczesnym przekonaniu był „raczej obywatelem niebieskim, niż ziemskim, więc nie wpływami ziemi, lecz wpływami nieba starano się wyjaśnić czyny, losy i cele człowieka“. Takie poglądy panowały w nauce aż do początku ubiegłego stulecia. Jeszcze Jan Śniadecki (1756—1830 r.) w dziele swoim „Geografia, czyli opisanie matematyczne i fizyczne ziemi“ pisał: „ziemia jest mieszkaniem ludzi, podzielonych na różne społeczeństwa, usadowionych na różnych placach jej powierzchni, składających narody, które różnią się miejscem, językiem i wewnętrznym swego towarzystwa urządzeniem. Opisanie ziemi w tym względzie uważanej, nazywają geografią polityczną, która będąc wypadkiem najczęściej umów dobrowolnych lub wymuszonych, tak jest nauką zmienną, jak są zmienne mniemania ludzi, stopnie i zamiary ich, chuci i namiętności. Narody jedne szerzą się z uszczerbkiem drugich, jedne pochłonięszy drugie czekają także na kolej śmierci i zniszczenia: są to



skutki sił, żadnemi stałemi prawami opisać się nie mogących“. Ale już w kilkanaście lat później Karol Ritter (1779—1859), twórca geografii człowieka, zupełnie inaczej zapatruje się na daną kwestyę. „Ziemia, według słów jego, to wielki organizm urządzony celowo dla rozwoju człowieka, to wielki zakład wychowawczy dla rodu ludzkiego. Każdy człowiek odzwierciadla w sobie swoją ojczyznę. Mieszkaniec północy i południa, wschodu i zachodu, syn górzystego Tyrolu i Batawczyk, mieszkaniec niziny holenderskiej, każdy jest przedstawicielem swej krainy, w której się urodził i wychował. Miejscowy wpływ okolicy na charakter jej mieszkańców, na ich fizyognomię i budowę ciała, na formę czaszki, na kolor skóry, temperament, język i duchowy rozwój jest niezaprzeczony“.

Słuszne poglądy Ritтера zachowały jednak pierwiastek teleologiczny (t. j. celowości). Uczniowie zaś jego zamiast usunąć ten błąd, potęgowali go raczej w kierunku teleologicznym i historycznym, oddalając się od zasad przyrodniczych. Idea Rittera na razie upadła, lecz po kilkudziesięciu latach została wskrzeszona przez geografa niemieckiego, Ratzla, który przeprowadził ją pod nazwą antropogeografii, uwolniwszy zarazem od naleciałości teleologicznych. Niedawno zmarły Reclus, Leon Miecznikoff i prof. geografii w Halle, A. Kirchhoff, oto główni przedstawiciele ostatniej doby wznowionego kierunku ritterowskiego w antropogeografii; u nas do gorących obrońców i propagatorów idei Rittera należy prof. W. Nałkowski.

Dzięki trudom wspomnianych uczonych istnienie nierozzerwalnych więzów między przyrodą i człowiekiem i ich wzajemne oddziaływanie nie ulega najmniejszej wątpliwości i dla każdego człowieka dobrej woli powinno być zupełnie jasne i zrozumiałe.


„Już na niewielkiej stosunkowo głębokości żar wnętrza ziemi nie sprzyja naszemu życiu; nawet w kierunku przeciwnym może człowiek wzniesć się zaledwie na kilka kilometrów, ponieważ straszne zimno, w połączeniu z brakiem tlenu, wystrasza go z tych powietrznych wyżyn. Ograniczony przestrzenią byt człowieka na ziemi nie trwa z wieczności do wieczności, ogranicza się on bowiem wązkiemi ramami, jakie wyznacza mu

przyroda. Wiemy teraz o tem, że niegdyś—miliony lat temu—kula ziemską przebiegała kręgowe drogi wszechświatowej przestrzeni, nie posiadając na swej powierzchni żadnego śladu życia organicznego. Nareszcie kiedy żar ziemi przez promieniowanie ochłodził się cokolwiek, kiedy cały ocean pary wodnej spadł z atmosfery w postaci deszczu na zaledwie zastygłą skorupę planety, wynurzyły się istoty żyjące, a wreszcie i sam człowiek. Będzie on cieszył się z życia narówni z innemi stworzeniami tak długo, dopóki nie zabraknie niezbędnych warunków życia, przede wszystkim potrzebnej ilości ciepła i wody“. A gdy ziemia wystygnie i utraci wodę ze swej powierzchni, wówczas z jednej strony lodowaty krajobraz północy, z drugiej zaś bezpłodna pustynia będzie widownią śmierci ostatniego członka naszego rodu.

„Lecz ziemia będzie, jak gdyby nic się nie zmieniło, odbywać po dawnemu swą drogę bez życia, bez serc ludzkich“. (A. Kirchhoff).

Pocóż jednak sięgać w tak daleką przyszłość, zwróćmy się raczej ku przeszłości i te rażniejszości, aby dowiedzieć się, co było i co jest i co mówi w tej kwestyi antropogeografia.

W historii ludzkości wieków ubiegłych, jak i w życiu narodów współczesnych, widzimy coraz bardziej wzrastające dążenie do zajęcia i utrzymania w swym posiadaniu jak największej przestrzeni—zjawisko, które powtarzało się tysiące razy w świecie roślinnym i zwierzęcym. W swym zaborczym pochodzie napotyka jednak ludzkość nieprzezwyciężone przeszkody, które stawia jej przyroda. Siedziby ludzkie, jak wiadomo, sięgają na północ do 80° szer. geogr., na południe zaś 55°. Niejednakowa gęstość zaludnienia tego olbrzymiego obszaru wyraźnie wykazuje, że przedewszystkiem klimat wywiera swój wpływ na mniejsze lub większe skupienie ludności na pewnej przestrzeni. On to gromadzi ludność w okolicach strefy umiarkowanej i gorącej, należyte nawodnionych, on wywołuje rzadkie zaludnienie krajów podbiegunowych i pustyń, lub też zupełny brak człowieka w okolicach, gdzie panuje np. zimno nie do wytrzymania. Wogóle gęstość ludności odpowiada w zupełności wahaniom klimatu: dokoła bie-



gunów izoterma 0° ściśle prawie zbiega się z granicą siedzib ludzkich.

W okolicach podbiegunowych, np. w Grenlandyi, pędzą swój nędzny żywot nieliczne ludy, przyczem na tysiące kilom. kw. przypada zaledwie jeden człowiek. Czyż nie jest rzeczą zupełnie jasną, że na obydwuch półkulach człowiek unika tych okolic, gdzie wskutek panującego zimna musi walczyć z okrutną przyrodą, i że w tych przypadkach wpływ środowiska uwydatnia się już na pierwszy rzut oka. Większość wpływów zwanych klimatycznymi należy zaliczyć do kategorii wpływów pośrednich. Przyroda, wśród której człowiek znajduje się od urodzenia, podlega większej nawet zależności od klimatu, niż lu-

dzie; najczęściej za pośrednictwem przyrody oddziałują klimat i na człowieka; okolice, np. rozpowszechnienia pewnych zwierząt i roślin wyciskają swe piętno na życiu jego. Islandya nie mogła stać się krajem rolniczym, lecz stała się za to krajem rybołówstwa i hodowli owiec. W tych południowych stanach Ameryki Półn., gdzie rośnie tytoń i bawełna, kwitło w swoim czasie niewolnictwo i związany z nim ustrój społeczny. A więc możemy powiedzieć, że roczna izoterma 10° wywarła olbrzymi wpływ na historię Stanów Zjednoczonych, a lipcowa izoterma 10° , stanowiąca granicę lasów, zdecydowała o rodzaju pracy Islandczyków.

(D. c. n.)

Cz. Statkiewicz.



Wrażenia z wycieczki zimowej w Tatry.

Oprócz efektów świetlnych, codzień można było podziwiać spadające lawiny. O tej porze roku nie jest to zjawisko groźne, ale piękne — śnieg sypki, spadając tworzy prześliczne białe tumany, przybierające najróżnorodniejsze kształty. Coprawda kilka razy tym niewinnym lawinom towarzyszyło oberwanie się trocha kamieni, ale to tylko zwiększało wrażenie.

W poniedziałek zostały zakończone roboty na Morskiem Oku, pozostawał jeszcze do zbadania Czarny Staw. Przedsięwzięcie nielada, bo choć leży on tylko o 200 m. wyżej, ale śniegi ogromne, wejście napewno trudne. Z tej racji marsz wcześniej do łóżka, ażeby wcześniej wstać. Usypiało nas żałosne zawrodoenie wiatru, nasuwające niewesołe prognozytyki dla jutrzejszej wyprawy. Poranek zawiódł smutne przeczucia. Wiatr uspokoił się, niebo pochmurne, ciepło.

Komu w drogę, temu czas — worki na plecy, kij do ręki i marsz. Przeprawa przez Morskie Oko i kilkanaście pierwszych metrów w górę poszło gładko. Ale wyżej! Trzeba nam było walczyć z dwiema ostatecznościami: jużto śnieg po kolana, jużto lodowa skorupa, w której trzeba wyrąbywać schody, gdyż inaczej robiło się 3 kroki wprzód, a 2 wtył zupełnie mimowolnie. Po półtoragodzinnym marszu stanęliśmy nareszcie na szczycie, jeszcze kilka kroków wdół i jesteśmy na Czarnym Stawie. Brr, jakie przykre wrażenie. Biała, nietknięta

plaszczyna, a naokoło sterczą czarne olbrzymy, przygniatające swą wielkością, ani jednego drzewa, ani krzaczka, nie słychać żadnego głosu, nie widać ani jednego żywego stworzenia. Szczęśliwie, że praca pochłania zupełnie uwagę.

Pierwszym czynem było zabezpieczenie rzeczy przed padającym śniegiem; w tym celu została wykopana w śniegu bardzo ładna chatka, gdzie cała wyprawa mogła się wygodnie pomieścić. Potem dopiero zabraliśmy się do pracy naukowej. Zostały przebite 5 przerębli.

Pomiary ciepłoty wykazały dość oryginalny fakt. Oto woda tego wyżej o 200 m. położonego jeziora okazała się cieplejsza od wody Morskiego Oka. Już na głębokości 3 m. woda miała $+ 2,5^{\circ}$, a w Morskiem Oku napotkaliśmy na tę samą ciepłotę dopiero w 20—25 m. Widocznie pierwszy lód musiał pokryć powierzchnię, kiedy woda była jeszcze silnie ogrzana. Największa głębokość wymierzona wynosiła 80,80 m. (Czarny Staw należy do najgłębszych jezior tatrzańskich)—w lecie zmierzono w jednym miejscu 84 m. Połów planktonu, widocznie w zależności od temperatury wody, okazał się również obfitszy, niż w Morskiem, a nawet obfitszy niż w lecie w tym samym jeziorze.

Koło godz. 3 pp. spadła na jezioro gęsta mgła, ale nie przeszkadzała w zajęciach, które też koło godz. 4-ej zostały zupełnie ukończone, zabraliśmy się więc do odwrotu.



Teraz sprawa poszła znacznie trudniej. Zaczęło się od mimowolnego zjeżdżania w dół, szczęśliwie w porę zatrzymanego. Kiedyśmy z wielką biedą przeszli $\frac{2}{3}$ wysokości i minęliśmy już skały, rozpostarł się przed nami bajeczny stożek śnieżny. Dla skrócenia i ułatwienia sobie drogi użyliśmy sposobu, jak mi się zdaje często praktykowanego przez górali: kładzie się na śniegu i „na własnym fiakerze” zjeżdża się w dół. Środek lokomocyi bardzo prosty, bardzo szybki i bardzo przyjemny. W ten sposób droga powrotna zajęła nam tylko 3 kwadransy. O zmroku byliśmy już w schronisku, gdzie oczekiwano naszego powrotu z prawdziwym niepokojem. Kilka lawin, które przeszły koło Czarne-go Stawu, następnie mgła podsunęły gospodarzom hotelu czarne myśli co do naszego losu.

Zimowe roboty nad jeziorami zostały ukończone. Trzeba było zabierać się do powrotu. Żał było roztawać się ze schronieniem, które, chociaż początkowo okazało się niebardzo gościnne, bo pierwszego poranku było zaledwie $+2,9$ C. w po-koju, następnie stało się nadzwyczaj miłe.

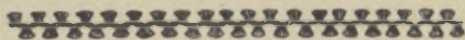
Czysto rodzinny nastrój, jaki tam panował, został uwieńczony muzyką i tańcami, którymi zakończyliśmy karnawał.

Górale pokazali, jak się tańczy „zbójnickiego”, my inteligencja popisaliśmy się naszymi polkami, i walcami, które i górale tańczą nie gorzej, jeżeli nie lepiej od nas.

Jakżeż inny był powrót od przyjazdu. Góry na znak żaloby przyoblekły się w poważne, gęste mgły; z nieba spadały jednostajnie wielkie, wilgotne płaty śniegu, ani rąbka jasnego nieba, ani jednego widoku, wszystko zasnutę, zakryte. Podróż zo to szła znacznie szybciej; wprawne góralskie koniki miejscami z góry szły galopem, sanki podskakiwały, zataczały się, jednak szczęśliwie bez stracenia kompletnej równowagi. Po 3 godzinach jazdy stanęliśmy w Zakopanem na dworcu.

Do widzenia góry i jeziora! W niedługim czasie powrócą ci sami ludzie, aby w dalszym ciągu badać tajemnice waszych szczytów i przepa-stnych głębi.

Regina Danyszówna



JANOPOL.

Ongi w powiecie upickim województwa trockiego, — dziś w powiecie wilkomierskim gubernii kowieńskiej leży dawna rezydencja możnej na Litwie rodziny Fronckiewiczów - Radzymińskich — Janopol. Dni świetności dawno już minęły i nieliczne tylko pamiątki wskazują, że był on niegdyś głównem siedliskiem magnackiej fortuny. Za czasów Rzeczypospolitej w skład klucza janopolskiego wchodziło kilkanaście wsi i folwarków. Przewroty w kraju, życie nad stan doprowadziły dawnych właścicieli do ruiny — i na zasadzie dekretu sądu „taxatorsko-ekszdywizyjnego” w r. 1810 dobra janopolskie zostały rozparcelowane pomiędzy okoliczną brać szlachecą.

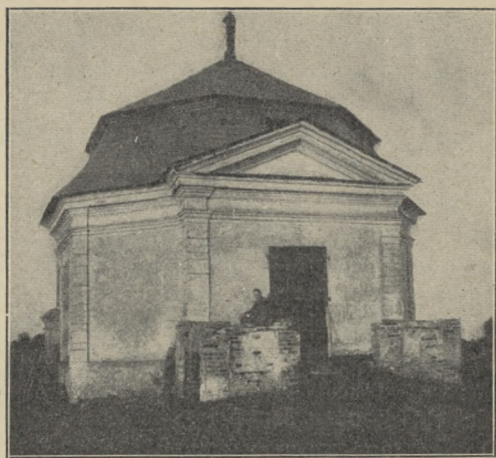
Janopol dostał się w ręce kanonika brzeskiego d-ra teologii księdza Jerzego Eydziatt-Zubowicza, który umierając w r. 1835 zapisał go swemu krewnemu Józefowi Eydziatt-Zubowiczowi. Po Józefie Zubowiczu w r. 1859 odziedziczyła go córka jego Józefa z Zubowiczów Szadziejczowa, po śmierci której w r. 1907 przeszedł on drogą spadku na dzieci jej stryjecznego brata Herkulana Zubowicza: Józefa, Piotra i wnuczkę tegoż Herkulana Wacławę Zubowiczównę. Z majątków należących niegdyś

do klucza Janopolskiego wymienię kilka: Łowkogol (Łauka-gałąj — koniec pola), dziś własność Antoniego Dołmut-Kontowta, Troupie (Tris upis — 3 rzeczki) Władysława Kerbedzia; przed paru miesiącami po śmierci tegoż ostatniego przez jego spadkobierców został ten folwark sprzedany Zygmunto- wi Kontowtowi; Trapkuny Stanisława Moytwiła, Szyły (Sziłas — borek) Onufrego Kulwiecia, Sodeliszki spadkobierców śp. Klemensa Szadziejczaka; Szyły Kunigiszki Justyna Strumiły, Szyły Popeliszki ks. Michała Siewruka, Sarwiliciany Dylkiewiczów, Benedyktów Orwicza i wiele zaścianków i okolic szlacheckich.

Z dawnej świetności Janopola niewiele już pozostało; przez lat kilkadziesiąt pozostając w ręku kobiety, Janopol staczał się powoli do ruiny i nieliczne tylko pamiątki wskazują, że tu ongi inaczej bywało. Z murowanego pałacu Radzymińskich pozostały tylko fundamenty, które świadczą, że pałac ten był olbrzymim na ówczesne warunki i posiadał parę skrzydeł. Tradycja chodząca Janopola zmarły przed kilku laty „Jurek” Kełto, b. kuchcik janopolski za czasów księdza Jerzego Zubowicza opowiadał mi, że w r. 1810 na zasa-



JANOPOL.



SKARBIEC — DAWNA KAPLICA.

dzie ferowanego wyroku sądu „taksatorsko-eksdwizyjnego” przyznane zostały wierzycielom za długie rozmaite ruchomości i nawet części składowe pałacu, jako to: drzwi, okna. Rzuciła się tłumnie reszta wierzycieli po łup, dumnie sterczący pałac w dni kilka został ogołcony ze wszystkiego i przez długi szereg lat stał bez dachu, okien, drzwi ku ludzkiej przestrodze, że tak mija sława świata. Józef Zubowicz zamieszkał w skromnej oficynie stojącej opodal, a gdy w roku 1870 stała się ona pastwą płomieni, przez ówczesnych właścicieli Janopola Józefa i Klemensa Szadziejczów został na fundamentach zburzonego pałacu zbudowany obszerny drewniany budynek mieszkalny. Przed domem rozciąga się ogromny dziedziniec, za obszerny jak na szlachecką fortunę, w końcu którego stoją dwa okazałe murowane ośmiokątne budynki, zwane „skarbcami”. Tradycja powiada, że sięgają one jeszcze czasów z przed wojen szwedzkich i że w czasie zawieruchy szwedzkiej stawiały przez kilkanaście godzin opór wojskom napastniczym, poczem obrońcy lochami mieli uciec do dziś nieistniejącej puszczy Skowrodzkiej, o 5 wiorst odległej od Janopola. Ile się mieści w tem prawi trudno orzec, otwory tylko pod kratowanymi oknami na strzelby przypominają obronny cel owych budowli. Lewy od strony domu przedstawiał kaplicę i chociaż dziś wewnątrz znajduje się w ruinie, ocalał stary ołtarz, jak również wmurowane w ścianę cyboryum. Kaplica miała sklepienie, dziś już w kilku miejscach uszkodzone. Nad kaplicą na dachu umieszczona jest jakaś drewniana rzeźba, wyobrażająca, jak głosi podanie, św. Michała. Figura ta dzięki czasowi uległa zniszczeniu, nawet dziś jednak robi dość estetyczne wrażenie i według mego zdania powinna ona być zdjęta i umieszczona w jakimś muzeum, jako cenny zabytek sztuki polskiej; z lewej strony pod kaplicą jest niewielka nisza z pozostałymi śladami drzwi i otworu

przez które przedostawało się światło i powietrze. O tej niszy istnieje legenda, że jeden z Fronckiewiczów kazał zamurować w niej swą niewierną żonę. Przez otwór miano podawać jej posiłek. I według podania miała ona przebywać w tem więzieniu lat parę.

Legenda prawdopodobnie zmyślona, zapewne to był areszt krótkoterminowy dla występnych podanych.

Z drugiej strony znajdują się duże piwnice, które przechowywały się w stanie dobrym.

Po prawej stronie mieści się skarbiec, znacznie lepiej przechowany, który służy do dziś dnia za spichrz do składania zboża.

Na dole przedstawia on wielką komnatę, pod tynkiem udało mi się doskrobać dwóch główek, męskiej i kobiecej, wykonanych na ścianie al fresco. Zaniechałem dalszej pracy, bojąc się bym nieuszkodził malowidła i zostawiłem tę pracę komuś bardziej kompetentnemu w tych rzeczach. Odrobienie tych główek na mój dyletancki sąd odznacza się dużym artystem i należałoby przedsięwziąć kroki ochronne przed ostateczną zagładą. Ściany prawdopodobnie muszą być podwójne. Na tą myśl naprowadza mnie dziwne echo, zagłuszające wprost rozmowę, w którem czuć jakby dźwięk metaliczny. Echo to posłużyło za powód do powstania wśród tamecznych mieszkańców podania, że w „skarbcu” zostały zamurowane pieniądze Fronckiewiczów, i fantazyja ludzka jest tak wybujała, że wykazują nawet sumę, która ma być tam ukryta, a mianowicie 90,000 talarów. Podanie to przechodzące z pokolenia na pokolenie wytwarza amatorów łatwego wzbogacenia się i w podziemiach pod skarbcem są bardzo widoczne ślady podkopań i sztucznych uszkodzeń.

Podziemia pod „skarbcem” są bardzo ciekawe. Przedewszystkiem skutkiem poszukiwań „złotego runa” zostały na wysokości człowieka odbite od

ziemi dwie nisz, długości około sążnia, wysokości po pół sążnia; ze strony wychodzącej w pole jest zamurowany przed laty kilkudziesięciu otwór do lochu. Loch ten istnieje na przestrzeni kilkunastu sążni i stanowi dziś głęboki murowany rów wysokości rosnącego mężczyzny, szerokości więcej niż arszyn.

Rów ten jak na gruntach janopolskich, tak i dalej niema z góry pokrycia, a pomimo dość skrętnych badań nie mogłem dowiedzieć się czy miał on kiedykolwiek murowane sklepienie, jak również, czy nie jest on tym samym lochem, którym według podań mieli uciekać, podczas wojen szwedzkich, obrońcy Janopola.

Oprócz tego w podziemiach skarbcza jest zagłębienie nadzwyczaj wąskie, tak że z trudnością wejść mogło siedmioletnie dziecko. W końcu owego zagłębienia znajduje się dość szeroki okrągły otwór, który łączy bezpośrednio podziemie ze strychem „skarbcza“. Podanie głosi, że obydwie te skarbcze są połączone lochami, jak również że loch prowadzi do trzeciej baszty, fundamenty której znajdują się w ogrodzie nad rzeką.

Na ślady tych lochów jednak nie trafiłem. Mam wprawdzie przekonanie, że one istniały, a może nawet istnieją, gdziekolwiek bowiem na dziedzińcu janopolskim rozpocząć kopanie, wszędzie się napotyka na grubszy lub cieńszy podkład cegieł.

W „skarbcu“ dzisiaj świetnie przechowały się żelazne drzwi, mocno zjedzone przez rdzę.

Na dachu jak i na kaplicy umieszczona jest starożytna rzeźba, mająca wyobrażać św. Florjana.

Dla charakterystyki sądownictwa w początkach XIX wieku muszę nadmienić, że na zasadzie ex-dyvizyi „skarbiec“ dostał się w udziale niejakiemu

Woyszwille, który nie wiedząc jak ma skorzystać ze swego prawa do skarbcza pozostawił go w spokoju.

Pomiędzy skarbcami znajduje się wysoka murowana brama wysokości około 4 sążni. Przed laty 10 istniały jeszcze starożytne żelazne kraty, które dzięki czasowi uległy kompletnemu zniszczeniu. Na bramie z obydwóch stron przed laty 20 istniały urny kunsztownie rzeźbione.

Za bramą ciągnie się około stu sążni aleja wysadzana lipami. Trudno jest określić ich wiek, nie zrobimy zapewne wielkiej pomyłki, jeżeli przypuścimy, że lipy mają po 200 lat.

Z lipami, których jest w głównej alei 22, łączy się podanie, że w XVIII wieku na nich okrutni Fronckiewiczze mieli wieszać za przewinienia swych poddanych.

Dokoła dziedzińca i ogrodu wznoszą się murowane słupy wysokości około 2 sążni. Słupów takich jest 186.

Ogród, obszaru około 4 dziesięcin, strasznie zapuszczony, z angielskiego parku przechodzi w owocowy, i spuszcza się trzema tarasami do rzeki.

U stóp jego wije się srebrzysta Niewiaża. Za ogrodem dwa duże stawy, do połowy porośnięte wikliną i trzciną, dopełniają całości.

Papierów dotyczących rodziny Fronckiewiczów żadnych nie pozostało.

Około 1840 r. — nie umiano mi ściślej określić — przyjechała jakaś tajemnicza panna, zwróciła się do kucharza Jurka Kuły i ten zebrał leżące na strychu skarbcza jakieś stare papiery i sprzedał je za cenę 10 rubli. Sam mi to opowiadał. Co to była za osoba nie umiał mi wytłumaczyć.

Eydziaatt.



Słownictwo naukowe i gwary ludowe.

Niezmierzone skarby językowe spoczywają bez użytku w naszych gwarach ludowych, ukryte w ich łonie, — iście jako owe podaniowe skarby zakłętę — mimo dość licznych wydawnictw z tego zakresu krakowskiej Akademii Umiejętności i innych ciał zbiorowych. Tym sposobem dzieje się, iż język polski zachwaszczają szpetne wyrazy obce lub też w niektórych działach słownictwa naukowego i zawodowego przedstawia on się dość

ubogo, chociaż właściwie trzeba by tylko sięgnąć ręką umiejętną do gwar ludowych, tych źródeł narodowej, a plon byłby niezawodnie bardzo wydatny.

W nowszym czasie widzimy w naszym piśmiennictwie nadobnem pewien pouczający zwrot w tym kierunku, który powitać należy jako zanie wiele obiecującej przyszłości. Twórczość powieściopisarska i poetycka zaczyna czerpać nowe

siły nie tylko z kreślenia prawdziwej istoty chłop polskiego, jak on żyje, działa i myśli, lecz przytem posilkuje się jego własną gwarą. Reymont przedstawiając w swoich „Chłopach” lud mazurski takim, jakim on jest i jak żyje w rzeczywistości, czerpie też przytem z zasobu wyrazów i zwrotów jego mowy, a góralszczyznatatrzańską ze swoją gwarą weszła także do naszego piśmiennictwa, posiadając cały szereg pisarzy narzeczowych jak: Kazimierz Przerwa-Tetmajer, Władysław Orkan, Stanisław Witkiewicz, poeta Jedlicz, Andrzej Stopka, Andrzej Suleja, gazda z Zakopanego, Wojciech Brzoza, Władysław Panek, Gwiżdż i inni.

Początek więc zrobiony, lecz—tylko w naszym piśmiennictwie nadobnem, podczas gdy nasza nauka zawsze jeszcze spogląda z góry na poziom gwar pospolitego gminu, lekceważąc je a natomiast utrzymując jako świętość brzydkie naleciałości obce, w razie zaś potrzeby, przyswajając dalej naszemu pięknemu językowi szpetności cudzoziemskie, chociaż możnaby obficie czerpać swojszczyznę z źródła gwar ludowych dla niejednej gałęzi słownictwa zawodowego.

Wyrażając się łagodnie, dziwny to sposób postępowania. Wielkie narody europejskie,—ażeby nie szukać daleko n. p. Niemcy—gorliwie pracują nad oczyszczaniem języka swojego z obcych naleciałości, a dla skutecznego działania w tym kierunku stworzyli całą sieć stowarzyszeń dla oczyszczenia swego języka („Sprachreinigungs-Vereine”), rozwijających się pomyślnie w swej dodatniej działalności, a znajdujących silny oddźwięk w społeczeństwie niemieckim i czynne z jego strony poparcie. Praca w tym kierunku przynosi też na ziemiach niemieckich dobre owoce.

U nas zaś inaczej, u nas nikt o tem nie myśli, prawie nic nie dzieje się podobnego, owszem, przeciwnie brzydota obce rozmnażając się w naszym języku, szczególnie bezmyślnie pielęgnowane, prawie z upodobaniem, przez nasze pisma codzienne, żyją i mnożą się, jakby się zanosilo na—nowy okres makaronistyczny.

U nas należy do rzadkości czytać w dzienniku lub słyszeć w potocznej mowie: samorząd zamiast autonomia, zarząd zamiast administracja, tłok zamiast druk, rolniczy zamiast agrarny, wszechnica lub szkoła główna zamiast uniwersytet, książnica zamiast biblioteka, skarb lub skar-

bowość zamiast finanse i t. d. i t. d. Zdarzyło mi się nawet czytać w „Poradniku Językowym”, wydawanym w Krakowie, który zdawałoby się, powinien być powołany w pierwszym rzędzie stać na straży czystości językowej, że—obce wyrazy przyswojone językowi polskiemu należy szanować i nie tykać ich, co rzeczne pismo uzasadnia aklimatyzacją i przyzwyczajaniem się, jak gdyby przyzwyczajanie, jeśli jest złe i szkodliwe, nie powinno być zupełnie wykorzenione ¹⁾. W epoce makaronizmu, kiedy piękny język polski tonął już i przepadał w bagnie obcych szkaradzeństw, stniały też podobne przyzwyczajania do obcych wyrazów i ich aklimatyzacja u nas. Pytam się, co byłoby się stało z naszym pięknym językiem, gdyby ówczesne „przyzwyczajanie” i aklimatyzację szanowano i nie tykano ich?? Dziś z pewnością nie mielibyśmy własnego języka, tylko może jaką kuchenną łacinę łataną, zepsutą niemieczyzną lub francuszczyzną.

Sądzę, iż przyzwyczajanie zanieczyszczania języka, tego najdroższego skarbu narodowego, należy tępić do szczętu, chociażby istniało co do niektórych obcych wyrazów jakiekolwiek zadawnienie, zwłaszcza, jeśli z gwar ludowych możemy naszemu językowi piśmiennemu przyswoić własne wyrazy.

Miedzy naszymi narzeczami ludowymi zasługują przede wszystkim trzy gwary, jako przodujące i w słownictwo najzasobniejsze, mianowicie: gwara kaszubska, mazurska i góralska czyli tatrzańska, na jak najbaczniejszą uwagę ze strony naszych klas oświeconych. Posiadają one bowiem olbrzymie bogactwo słownicze, o którym niestety nasz ogół niema prawie wyobrażenia a nawet nieliczna garść miłośników swojszczyzny ludowej mało o tem posiada wiadomości, jeśli kto z tego grona nie wnuknie bliżej w istotę gwary. Doświadczyłem tego sam na sobie.

G. Smólski.

d. n.

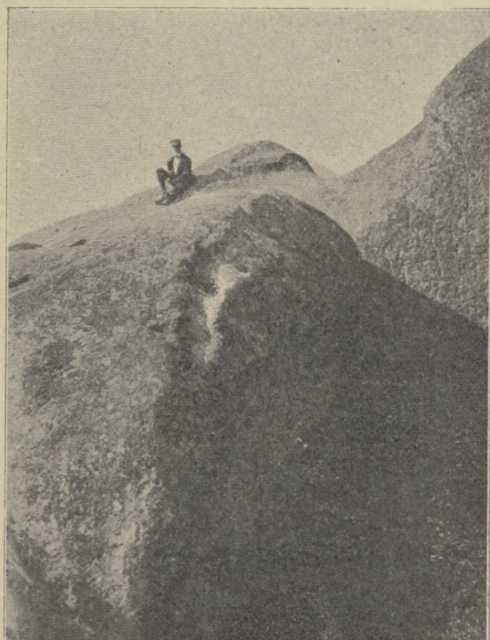
¹⁾ O ile znamy i rozumiemy stunowisko, które zajmuje tyle cenny i pożyteczny „Poradnik Językowy”, jest ono nieco odmienne. Nie zaprzecza bowiem „Poradnik”, że usuwanie wyrazów obcych jest koniecznością, tylko doradza przy tem ostrożność, któraby od dziwactwa, przesady i śmieszności broniła. Z drugiej strony zaznacza zaś słusznie, że każdy język—zatem i nasz—zawiera w sobie wielką ilość wyrazów obcych, tak doskonale przetrwionych i przyswojonych, że rugować ich bez naruszenia bezmała fundamentów piśmiennictwa nie można. (Przyp. red.).



Skąły w Bubniszczu.

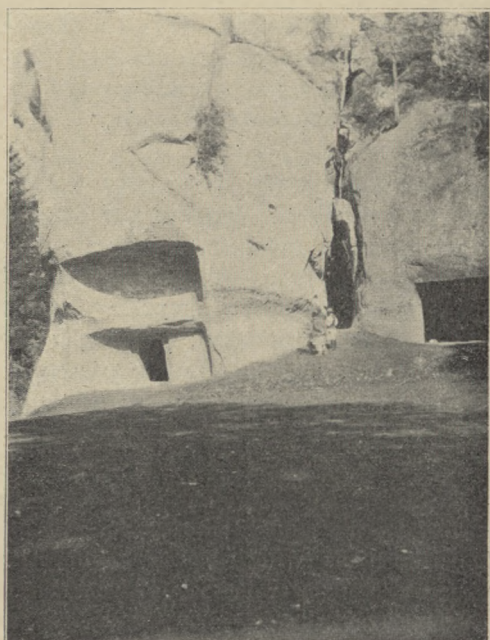
Niespełna dwie mile na południowy zachód od Bolechowa, miasta na szlaku kolejowym Stryj — Stanisławów, leży już w paśmie Beskidu mała gór-

i niebezpieczne wejście, w części przy pomocy drabin i wykutych w skale schodków; wspaniały, rozległy krajobraz, jaki się stąd roztacza, sówicie



W DRODZE NA SZCZYT.

Fot. W. F.



GROTY W SKALE.

Fot. W. F.

ska wioska Bubniszcze, z ciekawą grupą potężnych skał, zwanych tu „bołdami“.

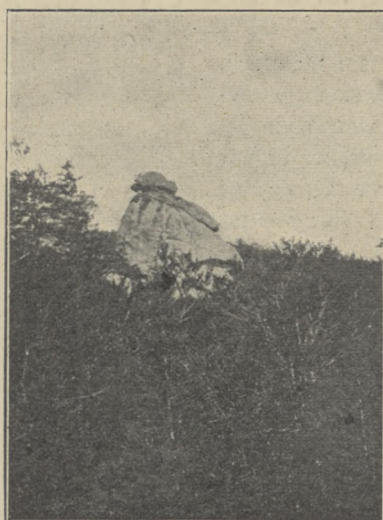
Skąły te, złożone z kilkunastu olbrzymich kamieni, przypominają podobne utwory piaskowca w czesko saskiej Szwajcarii. Położone wśród pięknych milami ciągnących się lasów, przeważnie szpilkowych, wysokie przeszło 200 stóp, robią na widzu imponujące wrażenie. Największa z nich posiada dwie dość regularnie ręką ludzką wykute groty. Pochodzenie i pierwotne przeznaczenie tych grot nie jest dotąd zbadane. Jedni uważają je za świątynie pogańskie Słowian, inni znów odnoszą je do czasów znacznie późniejszych, podając, że służyły za schronienie okolicznej ludności, która w czasie napadów nieprzyjacielskich zazwyczaj chroniła się po lasach.

wynagradza poniesione trudy.

Pokryte gęstym borem wzgórze opadają w kierunku północno-wschodnim ku dolinie Sukieli, która niby nic srebrna przewija się na tle szmaragdowej zieleni; ku południowi zaś piętrzą się coraz wyższe i wyższe kopce gór, niknąc w sienie oddali, już gdzieś na granicy węgierskiej.

Skąły bubińskie, jakkolwiek dojazd do nich jest dość utrudniony, gdyż wymaga około 3 godzin jazdy z Bolechowa, są celem licznych wycieczek i rzeczywiście zasługują na zwiedzenie. Piesi turyści dążąc do Bubniszcza, obierają zazwyczaj drogę ze stacyi kolejowych Skole lub Synowodzko, jako krótszą.

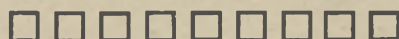
W. F.



KAMIEŃ Z CZAPKĄ.

Fot. W. F.

Na szczyt tej skały prowadzi dość uciążliwe



Sven Hedin w Tybecie.

13)

Jakoż o wpół do jedenastej zgłosił się młody Tsaktserkan, przystrojony elegancko w żółty jedwab i duży podobny do przewróconego dnem do góry półmiska kapelusz, oznajmiając, że on i lama Lobsang Tsering mają polecone towarzyszyć cudzoziemcowi przez cały czas jego pobytu w Szigatse i że już czas ubierać się na uroczystość. Przytem ze względu na szczególnie solenny charakter dnia dzisiejszego pożądanoby było, aby Hedin mógł przywdziać swoje najpiękniejsze ubranie. Na szczęście znalazł się na dnie skrzyni jakiś frak, jakaś koszula z wykwintnym gorsem i błyszczące jak lustro lakierki, z drugiej skrzyni wygrzebano przybory do golenia i jakkolwiek nie mogło być mowy o zaćmieniu Muhameda Izy, którego złotem szyty turban przyniatał wszystko poprostu, zrobiło się co się mogło.

A w chwilę potem na konie i w drogę. Na ulicach roi się już od tłumów, które ciągną również na uroczystość i w których obdarci żebracy mieszą się z dygnitarzami, kupcy i mieszczanie z nomadami z dalekich stepów; na rogach porozsiadały się przekupki, zachwalając głośno swój towar, środkiem, między tłumami trzepcząc się, jak stada wróbli, chmary dzieciaków. Droga czasem idzie przez plac szerszy, czasem przez wąskie uliczki o białych domkach, kiedyindziej znów mija się pola, stawy, groby i pojedyncze nędzne chałupy. Wszystko to razem jednakże pomimo wielkiego tłoku trwa zaledwie 12 minut, bo Taszy-lunpo leży tuż obok i oto już trzeba zsiąść z koni przed głównym do niego wejściem.

Śmiało i wysoko piętrzą się czerwone mury świątyni, ponad którym i na samym już szczycie bieleją ściany L a b r a n g u, rezydencji taszy-lamy, o

śmiałych, szlachetnych liniach; u góry ostro odcina się od białych ścian czarny i twardy pas, przed oknami białe markizy.

Za bramą, odrazu stromo pod górę, rozpoczyna się płatanina wązkich uliczek, obstawionych wysokimi domami i wybrukowanych błyszczącymi

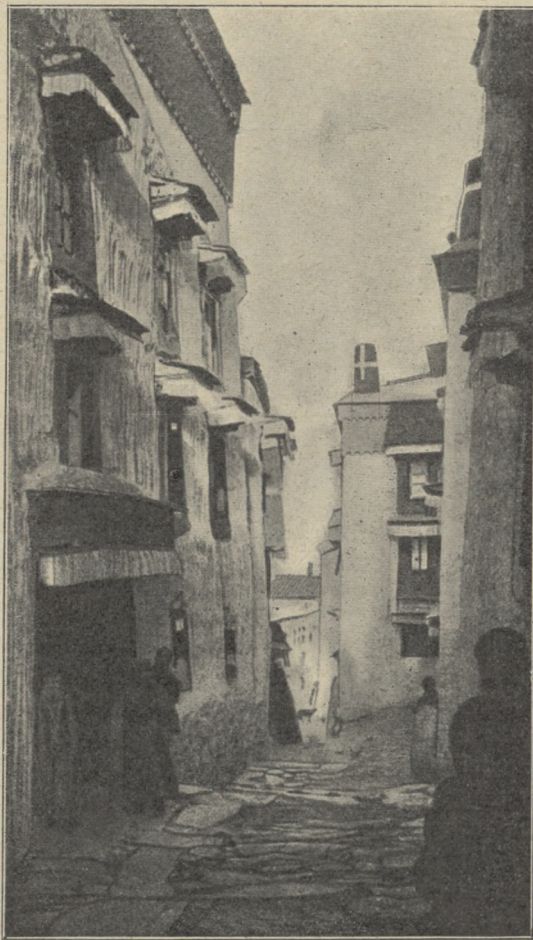
jak metal białymi płytami kamiennymi, na których znać już dobrze ślady setek tysięcy nóg, co po nich przeszły w świętej pielgrzymce. A kiedy się przekroczyło wysoki próg głównego gmachu, ogarniał wędrowca półcień, który niebawem zamienił się w czarny, nieprzebity okiem mrok; na długich to pod górę, to na dół idących korytarzach można by śmiało nabić sobie guza, gdyby nie życzliwa pomoc jakiegoś lamy, który się zawsze w niebezpiecznym momencie znajdzie u boku; każdy z nich ma rodzaj czerwonej togi na sobie, włosy krótko przystrzyżone, ręce nagie.

Ale oto już prześwituje światło dzienne, zrazu mętne i szare, potem przy wyjściu na wielki na drewnianych słupach oparty ganek, jaskrawe, lejące się potokami z pogodnego nieba.

Tu jest miejsce przeznaczone dla gości, a troskliwość posunięto tak daleko, że jest nawet jakieś mniej

czy więcej europejskiej formy krzesło, bez którego trudnoby było co prawda przestać kilkugodzinną uroczystość.

Dołem rozciąga się obszerny, prawie prostokątny podwórzec otoczony drewnianymi, również na drewnianych słupach opartymi galeryami, już w tej chwili przepelnionymi mrowiem ludzkim. Na środku dziedzinca wysoki, drewniany maszt, ze zwieszającymi się nisko chorągiewkami. Nawprost zajętego przez Hedina miejsca siedzi konsul Nepalu, młody porucznik w czarnej mycce na głowie, który sam jeden pozwala sobie lekceważąco ćmić pa-



ULICA W TASZY LUNPO.



pierosa za papierosem. Na lewo od niego długie szeregi różnych dygnitarzy miejscowych w żółtych albo czerwonych kaftanach, opasanych jaskrawym pasem, w żółtych również lub czerwonych kapeluszach wielkości małego parasola, podpiętych dla bezpieczeństwa pod brodą. Pod nimi na dolnej galerii—damy. Trudnoby może odnaleźć wśród nich piękność według naszych europejskich kanonów, niebrak jednak miłych i zdrowych twarzy, o cerze zlekka żółtawej wprawdzie, na której jednak świeży rumieniec odbija się wdzięcznie, jak czerwień na dojrzałym jabłuszku. Czy się stale i codzień myją nie można ręczyć, dziś jednak przy święcie tak wielkiem jest to bez mała pewne i zapewne jest to jeden z powodów, dla których cera ich wydaje się Hedinowi znacznie jaśniejsza, niż wszystkich innych spotykanych dotychczas w Tybecie piękności. Za to pod względem przepychu i elegancji w strojach, ma się od pierwszego rzutu oka wrażenie, że jest to wyścig, w którym tak dobrze jak w Paryżu być choćby przez jeden dzień pierwszą jest epoką życia. Ćmi się poprostu w oczach od tej orgii barw najjaskrawszych, od kosztowności, pod którymi niejedna piękność dosłownie ugina się, od srebrnych naszyjników i kolczyków, od wysokich białych wznoszących się od tyłu nad głową łuków i aureoli suto drogimi kamieniami sadzonych. Włosy czasem rozdzielone pośrodku i spływające po bokach, czasem fryzowane w mnóstwo cienkich warkoczków i przeplatane perłami.

Dołem—tłum szary. Co prawda niatylko dołem. Gdzie tylko jest to fizycznie możliwe, na ławkach, na dachach, na kominach, okapach i gzymsach czepiają się ludzie, którzy nie przyszli dość wcześnie, żeby zająć lepsze i dogodniejsze miejsce. Chwilami aż dreszcz chodzi po kościach, kiedy się patrzy na stłoczonych na zawrotnej wysokości ciekawców, których jeden ruch nieostrożny może zrzucić na kamienne płyty dziedzińca. Ale tłum jest karny, spokojny, nie pcha się i nie tłoczy, szanuje miejsce czy może szanuje siebie. A przecież jest to w całem tego słowa znaczeniu zbieranina ze wszystkich krańców buddyjskiego świata. Obok ludzi z Nepalu albo Ladaku—kupcy chińscy, żołnierze, mieszkańcy stepów mongolskich, wszelkie typy, wszelkie stroje, wszelkie języki. Jedni siedzą na przyniesionych ze sobą poduszkach, inni mniej dbali czy mniej zamożni zadowalają się złożonem w kilkoro ubraniem; tu piją herbatę, tam witają się ze znajomymi, kładąc sobie na znak przywitania kolejno głowy na łono. Matki usypiają krzyczące pociechy, żebracy mruczą monotonicznie modlitwy, których odgłos ginie w ogólnym chaosie. Nikomu się zresztą nie śpieszy i nikt się nie niecierpliwi. Żeby tu być, szli niektórzy z nich całe

długie, krwawym mozołem mierzone dnie, czasem tygodnie, czasem miesiące nawet. Są tacy, dla których jest to bezsprzecznie jeden z osiągniętych w życiu celów, są którym te kilka dni płaci za lata poniewierki i nędzy.

Bo to jedno jest pewne, że poza Lassą niema miejsca równie świętego i że żadne z czterech wielkich świąt lamaizmu nie jest tak czczone i tak lubiane jak te 15 dni Lozaru, ciepłego wiosennego święta na pamiątkę zwycięstwa Sakya-Muni nad sześcioma błędami. A dziś, kiedy Lassa jest pusta, kiedy czczony i ubóstwiany dalaj-lama uciekł, mimo że jest wcieleniem bóstwa — wszechmocnem i wszechwiedzącem — w dalekie stepy mongolskie, dziś cześć dla taszy-lamy w Szigatse rośnie z dnia na dzień i wznosi się jak przypływająca z szerokich mórz fala koło dumnie i odwiecznie sterczącej skały. I dla tego wiernych, którzy tu wielkim kosztem, większym jeszcze trudem przywędrowali Bóg wie skąd, jest tak dużo, jest więcej, niż bywało dotychczas.

Ale oto zabrzmiały z górnych galerii głębokie, przeciągłe dźwięki trąb; na tle nieba rysują się sylwetki kilku mnichów, dmących w szczególnego rodzaju trąby z morskich muszli, które wydają zarazem przeraźliwy i głuchy ton. Towarzyszący Hedinowi lamowie wyjaśniają, że jest to pierwszy sygnał do rozpoczęcia uroczystości, który oznacza, że mnichy siadają do wspólnego picia herbaty. Z ust tłumy wznosi się okrzyk radości.

A wnet potem rozbrzmiewa z zakrytej czarną makatą galerii, do której z dziedzińca wiedzie jedenaście kamiennych schodów, potężny chórálny śpiew. W głębokich, przytłumionych tonach mistycznej melodyi jest tak dziwna głębia, taka tęsknota pełna religijnej ekstazy i taka dziwnej mocy powaga, że zdumionemu podróżnikowi zdaje się, że oto płynie po jakichś mrocznych niezgłębionych falach wód, które idą niewiadomo skąd, które niewiadomo gdzie giną. Chwilami melodya, w której wyraźnie można rozróżnić niskie głosy męskie od dziecięcych świeżych głosików, wzbiera potężnie, potem ścicha i ginie gdzieś w niewidocznych pomrokach tajemniczego gmachu. I nastaje znów chwila ciszy. Ale w chwilę później nowe, przeciągłe dźwięki trąb oznajmniają wyjście taszy-lamy ze swoich apartamentów i wkrótce ukazują się w procesyonalnym pochodzie lamowie, z których każdy niesie jakąś część ornatu i arcykapłańskich insygniów. Przez tłum przechodzi cichy, pełen czci i niepokoju szept, chwilami jest tak cicho, że prócz lekkiego łopotania chorągwi słyhać chyba tylko uderzenia serc rozróżnionych, wierzących. W zgiętej, pokornej postawie, z wlepionymi w bramę wejściową oczyma, zapierając dech w piersiach, czekują tłumy ukaza-



LAMA z MUSZLĄ.

nia się jego świątobliwości. Oto i on. Przesu-
nawszy się wolno zasiada ze skrzyżowanemi no-
gami na stosie poduszek; przed nim żółta, jedwa-
bna zasłona, która tyle tylko, że pozwala mu pa-
trzeć na dziedziniec i pozwala zebrany widzieć
jego twarz — jest on zbyt święty, żeby się ukazy-
wać w całej swojej postaci. Sądząc z wyglądu jest
to człowiek zupełnie jeszcze młody, z wielką, żół-
tą mitrą przypominającą hełm rzymski na głowie,
z drogocennym w świętych rękach różańcem. Po lewej
stronie siada przy nim jakiś mały, sztywny dygni-
tarz z głową naksztalt kuli bilardowej — to któ-
ryś z ministrów stanu, za nim nauczyciel taszy-
lami i jego matka, mała kobiecina z goloną gło-
wą i z twarzą całkiem do męskiej podobną, w
czerwono-żółtym ubiorze. Po prawicy książę Kung-
Guszuk, młodszy brat taszy lami, świecki rządcą

provincyi; kołem otaczają ich najwyżsi dostojnicy
kościelni, wszyscy w żółtych togach — czerwone są
na codzień — o ruchach wymierzonych i spokoj-
nych, o twarzach pełnych wyrazu i poczucia swo-
jej godności, o głosach ściszonych i miękkich. To
jest istotnie „dwór“, niemniej niż jakikolwiek inny
imponujący, niemniej czujący swoją nad „plebsem“
przewagę.

A „plebs“ jest tymczasem w ciągłej ekstazie.
Zajęto już wprawdzie miejsca, ale co chwila zry-
wa się ktoś żarliwą pobożnością i natchnieniem
porwany, pada na kolana i bije czołem przed
świętym.

Tylko Hedin choć poruszony i rozciekawiony
do głębi, siedzi spokojnie. Nie spuszczać z ta-
szy-lami oka, widzi, że i on często zwraca wzrok
w jego stronę z żywym zainteresowaniem i życzli-
wością. W pewnej chwili spotkawszy się tak oczy-
ma, Hedin wstaje i składa mu ukłon głęboki, co
zostaje bardzo łaskawem głowy skinieniem przy-
jęte. Wkrótce potem ukazuje się kilku mnichów
z niskim stoliczkiem, na którym cicho i szybko
zastawiają całe szeregi miedzianych miseczek, wy-
pełnionych najwspanialszemi mandarynkami z Sik-
kim, suszonymi owocami z Nepalu, rodzynkami
indyjskimi, figami z Sining-fu, słodyczami z Bu-
tanu, suszonymi brzoskwiniami z Baltystanu i cia-
stkami tybetańskimi. W chińskie filiżaneczki por-
celanowe leją gęstą herbatę z masłem, prosząc w
imieniu Panczen-Rinpocze przyjąć gościnę i poczę-
stunek. Co się zostaje — a jest tego niemało — idzie
dla towarzyszy.

(c. d. n.)

St. Th.



GAWĘDY KRAJOZNAWCZE.

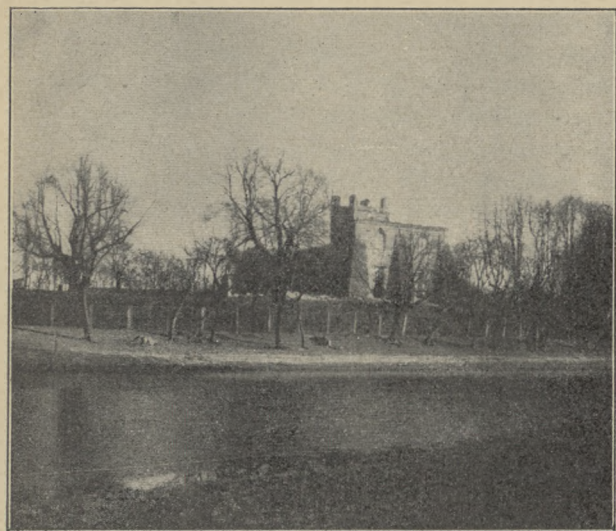
XIV.

Źle się u nas wiedzie starym zabytkom.

To co się da zdjąć z kołka lub wyjąć z szu-
flady idzie najczęściej na handel do zagranicznych
handlarzy lub wyrzuca się na strych, ja o rupiec
bezwartościowy. To co jest mniej wygodne pod tym
względem, co się nie da opakować i łatwo spie-
nić, przerabia się na obory, browary lub spi-
chrze, rozbiera do fundamentów, zgładza z powier-
chni ziemi. Czasem koszt, wyłożony na rozbiór-
kę, na zniszczenie, wynosi tyle, żeby za te same
pieniądze można było mocno i na długo podeprzeć

wałę się w gruzy budynek — ale jest w tem za-
ciekłem i bezmyślnem niszczycielstwie jakiś upór
złowrogi, jakaś niemal gorączka złego czynu, na
którą nie umiemy czy nie chcemy znaleźć lekar-
stwa.

Gdyby stare mury mówić umiały! Albo raczej
ci, którzy się czują dosyć zuchwali, by na nie rękę
podnosić, gdyby umieli ich słuchać. Bo one mówią.
Trzeba tylko ku nim ucho czujnie i życzliwie na-
chylić, żeby usłyszeć cichy, nieustający szept opo-
wieści o tem wszystkim dobrem i złem, o całej rado-
ści i o wszystkiej nędzy, jakie się w nich i koło
nich plątały, o woli mocnych, którzy te kamienie



BROK.

Fot. W. Stalski.

dźwignęli i o bezwoli słabych, którzy im dali się rozpaść. Ten język ludzi i rzeczy umarłych jest tak jeszcze żywy, tak wyraźny, że tylko chcieć, a zrozumie się go, tylko się wyrwać na chwilę z nędnego, małostkowego koła małych codziennych interesów i lichych, kramarskich korzyści.

Gdyby stare mury płakać umiały. Albo raczej gdyby miały moc w sobie bronić się od zwykłej, ordynarnej grabieży...

Ale nie mają. Więc wobec tego wali się z dnia na dzień to, co stulecia wznosiły, w czym się długie szeregi pokoleń kochały, co mogłoby być niepożytych pomnikiem chwały i dumy, co bezsprzecznie było dekoracją i tłem niejednej z barwnych, wstrząsających scen wielowiekowego dramatu, któremu na imię: dzieje Polski.

Nic się nie stało nowego. Nic coby na szczególne podkreślenie i wyróżnienie zasługiwało. Zginął, znikł z powierzchni ziemi Brok. Więc cóż z tego? Ginęły i giną niepowrotnie zabytki o wiele wartością swoją ważniejsze, niż ta letnia biskupów płockich siedziba, dla czegoż nie miał zginąć Brok. U nas, gdyby można to wszystko okiem i uchem ogarnąć, niema dnia, niema godziny ani minuty, żeby się na obszarze dawnych ziem Rzeczypospolitej nie waliły się gdzie stare ruiny w gruz, nie opadał tynk, nie pełżyły na słońcu i deszczu freski. A cóż Brok. No nic, oczywiście. Tylko, że śmierć, czy to człowieka, czy rzeczy pracą rąk jego i ducha stworzonych, ma w sobie zawsze coś okrutnego, ma też szczególną powagę i dostojęstwo chwili, której już z powrotem nie cofnie nic.

Jeszcze kilka miesięcy temu był żywy. Jeszcze na wiosnę tego—1910—roku, kiedy się o zamierzonym czynie zniszczenia rozeszły wieści, była, jak się zdawało, możliwość uratowania go od zguby, podnosiły się liczne głosy proszące, perswa-

dujące. Dziś to już jest kwestią przeszłości, kwestią żalu za tem, co obecnie jest już tylko rozplywającym się w przestrzeni i czasie echem, kwestią jednego zgrzytu więcej w naszym życiu współczesnym. O jedną starą ruinę mniej, o jedną nową oborę ze starych cegieł więcej. Oto wszystko.

To nie jest akt oskarżenia. Najmniej tu chodzi zapewne o właścicieli, o ludzi, którzy bezpośrednio byli sprawcami zniszczenia. Ci przynajmniej stawiali sprawę dość jasno i bardzo prosto. Do utrzymania starych murów nie czuli się na siłach. Różnicy między cenną Firlejową budową, w której cyzelował swoje kunsztowne ody Sarbiewski, a zwykłą karczmą przydrożną nie widzieli. Nie mieli natomiast nic przeciw temu, żeby społeczeństwo, które im z tego zarzut robi, które tak mocną zdaje się przywiązywać wagę do rzeczy podług nich bezwartościowej poszło dalej konsekwentnie tą samą drogą, nabyło od nich mury, a przynajmniej podjęło się ich konserwacji. Ale społeczeństwo także nie chciało. W prostym i niezawodnym następstwie Brok rozebrano i dziś oprócz środkowej, czworobocznej baszty, sterczącej jak komin ze spalonych czworaków, nie pozostało już nic. Chyba trochę żalu i wstydu, ale to się nie liczy.

Ale jest pewna niedokładność w rozumowaniu i tych, którzy tak lekką ręką dokonał tego przykrego czynu, i tych, którzy go dozwolili, pewne obrażenie przepisów prawnych, no nie prawa cywilnego albo karnego oczywiście, ale wyższego ponad nie prawa moralnego.

Panowie właściciele zburzyli mury, bo byli ich—wedle ksiąg hipotecznych—własnością. Społeczeństwo dozwoliło na to, jako ogólny i zbiorowy posiadacz wszelkich dóbr duchowych narodu.

Otóż w tem, co do tytułu własności, zaszła zdaje się gruba pomyłka. Bo posiadaczem moralnym takich niematerialnych wartości jest wprawdzie istotnie społeczeństwo, ale bynajmniej nie w osobie jakiegoś wyznaczonego po temu grona ludzi, ani nawet w osobie dziś żyjącego pokolenia, tylko w abstrakcyjnej woli narodu, która się z pokolenia na pokolenie przelewa. Nie jesteśmy właścicielami tych rzeczy, jeno ich depozytariuszami i w takim je stanie, jeśli nie lepszym, oddać winniśmy swoim następcom, w jakim je od przodków otrzymaliśmy. Stąd wynika nietyle prawo do posiadania i używania pewnych wartości, ile obowiązek czuwania nad tem, żeby nie niszczały. To jest bardzo proste i zdaje się bezspornie uznane. Tyle tylko, że w praktyce dość różnie się ten obowiązek różnym ludziom przedstawia. Naogół uważa się, że jest to jeden z tych obowiązków pomniejszych, jeden z tych, których

się przestrzega, o ile to szczególnego wysiłku i trudu nie wymaga, a które się jak w skołatany burzą okręcie wyrzuca bez ceremonii za burt, skoro się stają niepotrzebnym balastem.

Tak przynajmniej zdają się mówić fakty. Dawniej zabytki niszczały wskutek wojen, najazdów, grabieży, pożarów, upadku małych i wielkich fortun, rewolucji i powstań, konfiskat i zsyłek. Nie było rąk, nie było głów, nie było czasu i środków potemu. Potem czaasy nastały spokojniejsze, ale takie, kiedy za obrzuceniem starej ba-szty albo pod-



BROK.

Fot. W. Stalski.

parcie krzyża przydrożnego bez stosownego pozwolenia płać się grzywny lub szło do kozy. Tłómaczeniem była zatem fizyczna niemożność. Zdawało się natomiast być pewne, że byle nam było dozwolone, byleśmy wolne poczuli ręce potrafimy wypełnić to, co do nas należy, to co nam głęboko na dnie serca leży. A dziś co? Dziś już wolno—nie idzie się za to do kozy, nie płaci się grzywien, dziś mamy już w Warszawie istniejące od kilku lat Towarzystwo Opieki nad Zabytkami ze śmiesznie skromną składką jednego rubla rocznie—i dziś jak dawniej wali się i przewraca, to co się za tamtych najgorszych czasów obalić nie zdążyło. Proszę tylko dobrze porachować, ile w ciągu tych pięciu ostatnich lat niszczało do-szczętnie ruin i ile ich się dało przy istniejącej organizacji i względnej możności czynu od zagłady uratować. I ilu jak myślicie członków ma wspomniane Towarzystwo Opieki nad zabytkami, towarzystwo, które przecie nawet przy szczupłości swych środków i niemożności postawienia swego veto w formie obowiązującego prawnie zakazu, już to i owo zrobiło, już mogło uzyskać do siebie i swej działalności zaufanie. No — dziesiątą część mieszkańców Królestwa, setną, tysiączną. Otóż ma ich nie wiele co więcej niż tysiąc, to się znaczy jeden na dziesięć tysięcy. To jest więcej, niż smutne, to jest poprostu niezrozumiałe.

Sam w swojej skromnej działalności agitatora i inkasenta spotykałem niejednokrotnie ludzi, którzy wręcz zapisania się na członka z opłatą jednego rubla rocznie odmawiali. Często to byli ludzie zamożni, czasem bogaci. Jeden rubel więcej

wydany, mógł to dla nich być jeden krawat mniej w garderobie, jedna mniej przejażdżka na gumach (nie mówię Boże broń o śniadaniu, bo oni by się wstydzili zjeść śniadania za rubla) jedna błahostka, do której sami nie przywiązują wagi. Niektórzy z nich próbowali swoją odmowę teorety-

zować: kraj jest na to za biedny, zbyt wiele jest ważniejszych potrzeb do załatwienia. Jakich? No, różnych, bardziej palących, czy bardziej produkcyjnych. Zapewne, łatanie starych dziur produkcyjne być nie może, Towarzystwo dywidendy nie daje, a co ko-

go pali i boli to jest rzecz względna, osobista i niekiedy drażliwa.

Być może, że wzmiankowane Towarzystwo za mało daje znać ludziom o sobie, za mało się reklamuje, za mało wytycza się w kierunku uświadamiania i urabiania opinii publicznej, za mało urządza wystaw, odczytów, zebrań, pokazów, a za dużo zamyka się w ciszy gabinetowej, do której szerokie, jak najszerokie warstwy dostępu nie mają. I tu nie jest miejsce na rozbiór, jaka dla niego byłaby droga najbardziej wskazana, najpłodniejsza w owocu—choć może z innych względów niedość bezpieczna w skutku¹⁾. Rozumiecie już. Ale gdyby nam kto dziesięć lat temu powiedział, że wśród nas jest dziesiątki tysięcy takich, którzy się niczem nie zechcą przyłożyć do uratowania tych skromnych resztek, które się pozostały...

A przecież chyba naszym ideałem nie są jakieś świeże i dziewicze ziemie Australii, na których bodajby tylko wszystko, co się zasieje, najbujniej rośnie, ale na których niema co konserwować, bo to nie jest spuścizna po dziadach, jeno nowy warsztat do pracy. Przecież my chyba naprawdę i szczerze czujemy swoje prawo do ziemi

¹⁾ Podług zanotowanych w ostatnich dniach pogłoszek Tow. Op. n. Zab. zostało zawezwane przez Kom. do spraw towarzystw w Kr. P. do złożenia pewnych wyjaśnień, dotyczących się jego działalności dotychczasowej. Powstrzymując się od komentarzy, choć pamiętając, że w tym pierunku u nas słowo „nieprawdopodobne” nie ma zastosowania, ufamy, że tej jawnej i legalnej pracy nikt tamy nie położy.



i wiemy, że takie omszałe mury ważą więcej, niż najstarsze pargaminy...

Gdyby ktoś u nas odkrył przypadkiem nieznaną rękopis Kochanowskiego czy Reja, Modrzewskiego czy Skargi, przecieżyby to uważał za wielką, bezcenną zdobycz narodową, za niewątpliwie pomnożenie jego bogactw, za rzecz, którą zniszczyć a nawet nie otoczyć dostateczną opieką może tylko głupiec albo szaleniec. Ale skoro czcimy miśtrów pióra, skoro myśl pisaną tak wysoko stawiamy, dlaczego pokochać dość gorąco nie chcemy myśli, zakłętą w kamień—wszakci jest równa tamtej. Czyżby wisiało nad nami fatum, które z żelaznym spokojem czeka nieuchronnego starcia z powierzchnią ziemi wszelkich śladów naszej przeszłości, które się wówczas zapyta, czy się jeszcze z tą przeszłością związani czujemy. Czy też, jak to raczej może tłumaczyć sobie należy, jest to w dalszym ciągu to samo lenistwo ducha, ten sam bezwład woli, to samo „niechcenie chcieć“, które wlecjemy jak kulę u nogi za sobą.

Niedość jest w zasadzie uznawać szkodę, jaka się dzieje. Niedość jest tworzyć towarzystwa i dać im potem upadać czy wegetować. Staniemy na mocnym gruncie wtedy dopiero, kiedy cały nasz myślarz i czujący ogół poczuwać się zacznie do

obowiązku, kiedy czynić zacznie, co mówi, żeby szkodzie zapobiedz, kiedy za poniesione straty sobie zechce winę przypisać. Bo on jest winien, on jeden. Nie ten tam jakiś właściciel, wszystko jedno kto: żyd zubożony czy jegomość ze zbyt wielką podług miary swej głowy mitrą dziedziczną, czy ciemny chudopacholek. Ogół tylko w naszych przynajmniej dotychczasowych warunkach—może powiedzieć dość wyraźnie i stanowczo: nie wolno, ogół tylko powinien, musi nawet zdobyć się, skoro nie wystarcza zakaz moralny, na wysiłek pieniężny, na odkupienie „gruzów“, na podtrzymanie ich.

Wiemy czyje ciemne, biedne, nieodpowiedzialne ręce dziś są bezpośrednim sprawcą zagłady, kto w ciemne noce rozkrada cegły, żeby z nich komin sobie wystawić, albo wałącą się ścianę podprzeć. Ale co ich synowie czy wnuki powiedzą o tych, co rabować dawali?

Wiemy też, że na wszystkich szczeblach drabiny społecznej są ludzie, do których zysk osobisty mówi mocniej i zrozumialej, niż jakiś tam zamierający głos przeszłości, której nie rozumieją ani rozumieć nie chcą.

Ale reszta. Ci którzy w głębi serc swoich Kochają, którzy czują i cierpią. Ci niechaj mówią.

Boruta.



Z Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego.



Oddział Piotrkowski P. T. Kr. urządza dn. 12 — 15 sierpnia r. b. wycieczkę do Ojcowa i okolicy. Wyjazd z Piotrkowa w piątek d. 12 o g. 4 rano pociągami dr. ż. W. W. Koszt wycieczki: dla członków 12 rb., dla gości — 16 rb. i dla

młodzieży szkolnej—9 rb. Zapisy z zadatkami przyjmujemy do d. 6 b. m. p. M. R. Witanowski w Piotrkowie, Stary rynek nr. 1.

■ ■ ■

Nowe książki.

Rozsiedlenie ludności Galicji według wyznania i języka. Opracował dr. Józef Buzek. (Wiomości statystyczne o stosunkach krajowych wydane przez krajowe Biuro statystyczne pod redakcją prof. d-ra Tadeusza Piłata. Tom XXI. Zeszyt II). We Lwowie 1909, str. 209 i 92 tablic z dwiema mapami. Cena 5 rb.

Dzieło powyższe, będące owocem wyjątkowo wy-

trwałej i sumiennej, benedyktyńskiej wprost pracy, oświecła w zupełnie jasny sposób kwestyę rozsiedlenia ludności w Galicji. Wywiady swe oparł autor głównie na podstawie rezultatów ostatniego spisu ludności z d. 31 grudnia 1900 r., obfity jednak materyał z lat dawniejszych w postaci rezultatów spisu z r. 1880 i 1890, pozwolił na dokonanie ciekawych porównań i zestawień oraz na wyprowadzenie cennych wniosków ogólnych. W szeregu nadzwyczaj skrupulatnie opracowanych rozdziałów, opartych na olbrzymim wprost materyale cyfrowym, rozpatruje dr. Buzek kolejno: rozsiedlenie poszczególnych wyznań i narodowości Galicji według terytoriów etnograficznych, granicę między zwartymi siedzibami ludności polskiej i ruskiej, rozsiedlenie poszczególnych wyznań i narodowości osobno na zwartym obszarze szczepu polskiego oraz szczepu ruskiego w Galicji zachodniej i wschodniej, wreszcie rozsiedlenie tejże ludności według terytoriów administracyjnych.

Wywiady swoje reasumuje autor we wnioskach następujących.

Z ogólnej liczby ludności Galicji, wynoszącej w czasie ostatniego spisu 7.284.703 głów, używało języka polskiego 3.982.033 czyli 54,67 proc., ruskiego 3.080.543 czyli 42,29 proc., niemieckiego 212.327 czyli 2,91 proc. i innych—9.800 czyli 0,13 proc.

Otóż na obszarze zwartych siedzib szczepu polskiego mieszkają mniej niż dwie trzecie, bo tylko 63,7



proc. ludności polskiej Galicyi, natomiast więcej niż jedna trzecia tej ludności mieszka na obszarze zwartych siedzib szczepu ruskiego. Odwrotnie mieszka ludność ruska niemal w całości na obszarze zwartych siedzib szczepu ruskiego, na obszarze polskich mieszka bowiem tylko 1,7 proc. ludności grecko-katolickiej kraju a tylko 0,9 proc. ludności ruskiej. Z ludności rzymsko-katolickiej mieszka na obszarze polskim 70,2 proc., na obszarze siedzib szczepu ruskiego zaś 29,8 proc. tj. trzy dziesiąte tej ludności. Ludność ewangelicka, izraelska i niemiecka kraju mieszka głównie na obszarze zwartych siedzib szczepu ruskiego, na obszarze polskim mieszka bowiem tylko $\frac{1}{4}$ (25,8 proc.) ludności izraelskiej i mniej niż jedna piąta ludności ewangelickiej (18,46) i niemieckiej (17,7 proc.).

Skutki tego rozsiadlenia się ludności są następujące: 1. Obszar zwartych siedzib szczepu polskiego jest rzeczywiście obszarem polskim, ludność polska stanowi tu bowiem 97, ludność zaś rzymsko-katolicka 90 proc. Ludność izraelska 8, a ludność grecko-katolicka tylko 2 proc. 2. Natomiast nie jest obszar zwartych siedzib szczepu ruskiego obszarem ruskim, ale obszarem mieszanym polsko-ruskim. W szczególności stanowi na całym obszarze zwartych siedzib szczepu ruskiego ludność rzymsko-katolicka nie mniej niż 21,2 proc., ludność izraelska 12,8 proc., ludność polska 30,9 proc., natomiast ludność grecko-katolicka 65,1 proc., ludność ruska 65,2 proc. Ludność ruska nie stanowi więc tutaj ani dwóch trzecich ludności. Po wyłączeniu z rachunku powiatów podgórskich tworzy na obszarze polsko-ruskim ludność ruska dokładnie 60 proc., ludność polska natomiast 36,6 proc.

Warto w końcu zaznaczyć, że według danych poprzednich spisów ludności liczba osób, używających stale języka polskiego wzrasta w Galicyi dość szybko. Tak więc w r. 1846 i 1851 było ludności polskiej w Galicyi 40 proc., w 1857 r.—42, w 1880 r. 51, w 1890 r.—53 i w 1900 r.—54 proc. Jednocześnie procent ludności ruskiej zmniejszył się z 50 proc. w 1846 r. do 42 proc. w 1900 r.

Uzupełniają pracę powyższą dwie mapy o rozległej skali, przedstawiające w kolorach stosunki językowe i wyznaniowe w Galicyi. Są one tak ułożone, by stosunek różnych kolorów na mapie odpowiadał możliwie jak najściślej rzeczywistej rozległości siedzib różnych wyznań i narodów kraju. Cel ten został osiągnięty, mapy bowiem dają istotnie znakomity obraz plastyczny stosunków narodowych i wyznaniowych kraju.

Nowem swem dziełem prof. Buzek znakomicie wzbogacił naszą literaturę naukową, dotyczącą stosunków kraju ojczystego. Życzyć sobie szczerze należy, aby i inne dziełnice polskie doczekały się wkrótce również sumiennych i wyczerpujących monografii, poświęconych najważniejszym dziedzinom ich życia.

E. M.

■ ■ ■

Kronika Krajoznawcza.

† Kierownik archiwum miejskiego w Wilnie, p. Wacław Studnicki, rzuca w wileńskim Gońcu Co-

dziennym myśl urządzenia wyprawy naukowej po Wilii.

„Przed tygodniem—pisze p. Studnicki—odbyłem wycieczkę sportową Wilią z Wilna do Kowna. Przewodnikiem naszym w tej podróży była przed 52 laty (1858 r.) pisana, wydana w Dreźnie 1871 r. praca Konstantego hr. Tyszkiewicza „Willi i jej brzegi”. Charakterystycznym dla działalności rządu opiekuńczego jest fakt, nieprawdopodobny na Zachodzie, że wszystkie rafy, które przed 50 laty utrudniały żeglugę po Wilii, pozostały do naszych czasów. Jest podobno jakiś „dyktans inżynierii wodnej”, któż nie widział na Wilii jakichś statków i specjalnych narzędzi do oczyszczania dna rzeki?... To „oczyszczanie” przez pół wieku coś zapewne kosztowało z naszych pieniędzy podatkowych, a rezultat—wiadomy może będzie kiedyś jakiejś rewizji senatorskiej. Ile milionów traci kraj na takiej gospodarce i na nieuregulowaniu naszych rzek, niegdyś spławnych—trudno obliczyć. Straty nasze w całym kraju przez tyle lat wynoszą, już nie miliony, ale bodaj miliardy rubli.

Pomimo raf, utrudniających komunikację wodną po Wilii, warto przedsięwziąć podróż łodzią z Wilna do Kowna. Malownicze kręte brzegi Wilii pociągają każdego, kto lubi częste zmiany krajobrazu i lubuje się w coraz nowem ugrupowaniu drzew, wody, nieba i barwnym kobiercu pól i łąk.

Nietylko wszakże turystom i miłośnikom przyrody można polecić wycieczkę po Wilii. Po Wilii należy przedsięwziąć ekspedycję naukową.

Brzegi Wilii na znacznej przestrzeni stanowiły granicę dwóch województw: trockiego i wileńskiego, a obecnie dwóch gubernii: kowieńskiej i wileńskiej; brzegi rzek wogóle, a szczególnie granicznych, są niezmiernie ciekawe dla archeologów i etnografów. Brzegi rzek, które przestały być arteriami komunikacyjnymi, są obecnie mniej znane od miejscowości położonych po obu stronach plantu kolejowego; z tego względu ciekawszą jest wycieczka po rzece, niż kolej.

Wycieczka turystyczna po Wilii z Wilna do Kowna trwać może kilka dni, ale ekspedycja naukowa na tej samej przestrzeni powinna zająć o wiele więcej czasu, tak około dwóch—trzech tygodni.

Ekspedycję naukową zorganizować może Towarzystwo przyjaciół nauk lub jedyna, a zatem najczynniejsza sekcja przy tem Towarzystwie: sekcja archeologiczna. Sekcja ta dałaby z pośród swego grona dla uczestnictwa w tej ekspedycji archeologów, historyków i znawców sztuki, przytem rysowników i fotografów. Przyrodnicy i ekonomiści znaleźliby się z pośród członków Towarzystwa lub nawet z osób do Tow. przyjaciół nauk nienależących. Ekonomiści są potrzebni tylko do opracowania krótkiego kwestyonariusza, zaś odpowiedzi na ów kwestyonariusz mógłby zbierać każdy z uczestników ekspedycji. Badania antropologiczne podniosłyby znacznie wartość tej ekspedycji naukowej w kierunku wszechstronnego zbadania kraju po obu brzegach Wilii i ludności tam zamieszkałej*.

† Systematyczną walkę z płaskami lotnymi na

Wołyniu rozpoczęto w 1907 r., w powiecie kowelskim, włodzimierskim i owruckim. Podjęta w tym kierunku praca szła zrazu opornie. Stawał na zawadzie nie tylko obskurantyzm włościan, których trudno było nakłonić do odpowiednich uchwał gromadzkich (z początku tylko 20 proc. dało się przekonać), ale w niektórych okolicach i zakorzenione wśród gminu przesady. Np. w pow. łuckim, w gminie Horodków, rozpowszechnione jest wśród ludu wierzenie, iż osoba, która dąb posadzi, umrze napewno, skoro drzewo osiągnie wzrostu człowieka, który je zasadził. Stopniowo jednak zwalczono przeszkody, i w okresie 1907 — 1910 r. obsadzono wierzbą czerwoną (*salix rubra*) i sośniną 1061 dzieściń piasków. Ziemstwo wydało na ten cel 25 tys. rb., zaś skarb przyczynił się zasilkiem 8,470 rb. Poślug przeprowadzonych badań, największe kompleksy piasków zalegają brzegi nizinne Bugu i Prypeci, a także jej dopływów: Turyi, Stochodu, Styru, Horynia i Słuczy.

Włościanie, którzy z obawy nowych podatków zrazu niechętną przybrali postawę, zmienili swój pogląd pierwotny i obecnie w pow. rowieńskim, najwięcej w lotne piaski obfitującym, wszystkie gminy przystąpiły do zalesienia nieużytecznych przestrzeni.

+ Z Podola galicyjskiego donoszą, że we wsi Berezo-wicy Małej w pow. zbaraskim, odbyło się d. 10 lipca r. b. poświęcenie wieży kościelnej i jednocześnie odsłonięcie pomnika Kościuszki przy współudziale niezliczonych rzesz ludu polskiego z okolicznych wiosek jak z Gontowa, Milna, Netreby, Iwańczan, Kobylej i t. d.



+ Jak donosi *Kuryer Poznański*, prace przedwstępne około dawno już projektowanej kolei żelaznej ze Złotowa do Wałcza w Prusach Zachodnich, postępują chyżym krokiem naprzód i przypuszczać można, że projekt budowy tejże kolei przedłożony zostanie sejmowi już w przyszłym roku. Niedawno odbył się objazd projektowanej linii przez prezydenta dyrekcji kolejowej w Bydgoszczy i przedstawicieli interesowanych bezpośrednio gmin. Wymiar nowej linii został już uskuteczniiony. Nowa kolej według obecnego projektu przerzynać będzie następujące miejscowości: Błękwit, Kłukowo, Annafeld (?), Pieczyn, Węgierce, Tarnówkę i Plietnitz (?). Od ostatniej miejscowości otrzyma nowy tor linię poboczną do Jastrowia przez Węgier-

ce, Osówkę i Piecewo. Wymiar powyższej nowej linii nie jest jeszcze ostateczny, lecz chyba już nie zajdą żadne większe zmiany.

+ Z W. Księstwa Poznańskiego donoszą, że nowe kolonie w Polskim Popowie i w Żakowie w pow. leszczyńskim są już ukończone. Z wyjątkiem małej części wydzielono już grunta kolonistom i dzierżawcom. Koloniści są: Ślązacy, Brandenburczycy, Westfalczy, głównie zaś Niemcy z Rosyi i Galicyi. Budynków nie stawiała komisya kolonizacyjna, lecz budował każdy podług swego stanu majątkowego, więc też nie ma jednolitości, jaką spotyka się w innych miejscowościach kolonizacyjnych. Dwie owe wsie mają 58 siedlisk.

+ Na zapomnianych kresach polskich, w dawnych powiatach bytońskim i lębowskim województwa pomorskiego, oddanych w r. 1657 w lenno elektorowi brandenburskiemu, a później przyłączonych do prowincyi pomorskiej i zupełnie zgermanizowanych, poczyną budzić się na nowo życie polskie. „Schles. Ztg.” donosi z wielkim żalem, że w powiecie bytowskim, obejmującym 60,854 hektarów, 9,061 hektarów już znajduje się w rękach polskich, a z tego obszaru nabyli Polacy przeszło 1,000 hektarów dopiero w pięciu latach ostatnich za pośrednictwem spółki parcelacyjnej poznańskiej. Liczba ludności zwiększyła się w tym powiecie z 26,091 na 27,152, a przyrost jest wyłącznie zyskiem polskim. Liczba ludności polskiej wzrosła bowiem z 3,670 na 4,513. Za staraniem „Gazety Grudziądzkiej” budzi się w tym powiecie polski ruch narodowy. W Studnicy założono w roku ubiegłym pierwsze w tym powiecie stowarzyszenie polskie. Także w powiecie lemborskim, a nawet w Szczecinku (Neustettin) zwiększa się liczba polaków. Cyfr dokładnych jednak piśmo hakatystyczne nie podaje. Jako najpewniejszy sposób usunięcia „niebezpieczeństwa polskiego” na tych zapomnianych kresach polskich podaje „Schles. Ztg.”, rozciągnięcie działalności gdańskiego „Bauernbanku” na te powiaty oraz popieranie pomorskiego towarzystwa kolonizacyjnego.



TREŚĆ: Cz. Statkiewicz. — „Idee przewodnie antropogeografii”; Regina Danyszówna. — „Wrażenia z wycieczki zimowej w Tatry” dok.; Eydziatt. — „Janopol” (z 2 ilustr.); G. Smólski „Słownictwo naukowe i gwary ludowe”; W. F. — „Skały w Bubniszczu” (z 3 ilustr.); St. Th. Sven Hedin w Tybecie” d. c. — (z 2 ilustr.); Boruta. — „Gawędy krajoznawcze” XIV (z 2 ilustr.); Z Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego. E. M. Nowe książki. Kronika Krajoznawcza.

Wzrost tytułowy i ozdoby w tekście rysował Mikołaj Wisznicki — Odbito w tłoczni Plotra Laskanera i S-ki — Składał i tamował Wacław Domański — Odbijał na maszynie Waleryan Szlicht. — Kłisze wykonano w zakładzie B. Wierzbickiego i S-ki — Papier krajowy z fabryki A. Moesa w Pilicy.